

JAN WERNIK

GŁOWA NA TACY

TOM II CYKLU OBLICZA PROWOKACJI

*nieznanie
von borowiecky*

GŁOWA NA TACY

TOM II CYKLU OBLICZA PROWOKACJI

JAN WERNIK

GŁOWA NA TACY

TOM II CYKLU OBLICZA PROWOKACJI

WYDAWNICTWO *von borowiecky*
Radzymin-Warszawa 2022

© Copyright by Jan Wernik

© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky, Radzymin 2022

Projekt okładki: Wydawnictwo von borowiecky

Korekta i redakcja: Marta Sieciechowicz

WYDAWNICTWO von borowiecky
05-250 Radzymin, ul. Korczaka 9E
tel./fax +48 631-43-93, tel. +48-501-102-977
www.vb.com.pl
e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl
Unikatowy Identyfikator Wydawnictwa 79300

ISBN 978-83-66480-71-1

Skład i łamanie: Wydawnictwo von borowiecky

*Józefowi Mackiewiczowi,
widzącemu wśród ślepych.*

Uczta była istic królewska. Nie mogła być inna. Wszak urodziny obchodził tetrarcha Galilei i Perei Herod Antypas. Przyozdobiona odświętnie główna sala pałacu w Macheroncie niczym nie ustępowała rzymskim komnatom cesarza Tyberiusza. Wśród marmurowej kolumnady i wyścietanej kobiercami podłogi, za stolami zastawionymi najprzedniejszymi trunkami i potrawami biesiadowali najznamienitsi dostojnicy Galilei i Judei. Tetrarcha klasnął w dłonie. Goście zamilkli, muzyka ucichła, zamarty odgłosy ucztowania. Nawet tresowany lampart jedynie machnął ogonem i położył się przy marmurowej kolumnie podtrzymującej sklepienie.

Gospodyni, żona jubilata, Herodiada szepnęła coś na ucho siedzącej obok niej dziewczynie. Ta natychmiast uniosła się, z gracją przeszła kilka kroków i stanęła przed rzędem zaproszonych gości. Była młoda i niezwykle powabna, o lekko oliwkowej karnacji skóry i wdzięcznych kobiecych kształtach rysujących się pod zwiewną, wielobarwną szatą.

Salome... — westchnienie przebiegło przez salę.

Córka Herodiady i pasierbica Heroda Antypasa.

Hałaśliwy tympanon dał znak. Początkowo spokojnie, potem coraz natarczywiej zaczął podawać rytm. Zwinne palce lirników szarpnęły struny. Dźwięki lekkie jak ptaki, zawirowały wokół słuchaczy i wzniosły się pod sklepienie, by zaraz opaść, rozkołysać serca i znów poszybować w górę i powrócić falą...

Salome przeszła na palcach po okręgu, jakby wyznaczając scenę do tańca i stanęła nieruchomo dokładnie w jego centrum.

Popatrzyła na swego ojczyrna. Postąta mu uśmiech, bardziej kuszący niż niewinny. A potem przeniosła wzrok na siedzącą obok króla matkę. Ta skinęła niezauważalnie głową. Zachęciła mrugnięciem powiek.

Muzyka zaczęła brzmieć coraz głośniejsze. Napięcie narastało.

Salome uniosła ręce. Zadręgały smukłe palce. Z początku delikatnie muskały powietrze, potem dłonie drapieżnie się rozwarły i dreszcz wstrząsnął ciałem. Zabrzęczały bransolety. Muzycy zwiększyli tempo. Salome zaczęła wirować. Coraz szybciej i szybciej. Tetrarcha nie mógł oderwać wzroku od szalonych piruetów. Dziewczyna powinna już dawno stracić równowagę, powinno się jej zakręcić w głowie. Powinna upaść. A ona, wyciągnięta jak struna harfy, wiła się, obracała, unosiła... Jej kruczoczarne włosy kreśliły kręgi w powietrzu, fałdy szaty falowały, rozbłyskując żółcią i czerwienią. Tancerka zmieniała się w ruchliwy płomień, od którego zapalał się ogień w oczach i sercach widzów.

Herod Antypas śledził każdy jej ruch. Patrzył na rozedrgane piersi, odsłonięty brzuch, rozkołysane biodra... W tym tańcu nie było śladu tego, co znał — greckiego porządku, z wyraźnym podziałem ruchów na kroki, figury i gesty rąk. Oszotomiony i zachwycony, chłonał dzikie, erotyczne widowisko i nie krył swojego podziwu. Żona wspominała mu kiedyś, że jej córka z pierwszego małżeństwa jest wspaniałą tancerką, której talentu mogą pozazdrościć greccy „święci tancerze”. Tak, nie przesadzała.

Dziewczyna podskoczyła i zatrzymała się.

Liry umilkły. Tympanon zabrzmiał krótkim staccato. Znieruchomieli też biesiadnicy, nie dowierzając, że to koniec. Herod Antypas poderwał się ze swego miejsca, gestem przyzywając tancerkę do siebie. Salome z trudem łapała oddech, kropelki potu lśniły w świetle oliwnych lamp. Była zmęczona, ale wiedziała, że matka jest z niej zadowolona.

Głowa na tacy — operacja Cezary

Droga Wysokie Mazowieckie — Siemiatycze, czerwiec 1948 roku

Głowa mężczyzny opierała się na kierownicy amerykańskiego, wojskowego jeepa. Spod włosów spływała za kołnierz munduru niewielka szkarłatna strużka. Kropelki krwi rozpyliły się na przedniej szybie i liczniku samochodu. Zwłoki kierowcy były jeszcze ciepłe. Pasażer wyglądał znacznie gorzej. Wywleczono go zapewne z samochodu (chyba nie wysiadł dobrowolnie) i teraz leżał na rozgrzanych kamieniach drogi. Przestrzelona potylicą świadczyła, że dokonano na nim egzekucji. Rogatywka z granatowym otokiem Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego¹ leżała obok bezwładnego ciała porucznika — na pagonach zabitego połyskiwały dwie gwiazdki. Przecięty skórzany pasek aktówki oraz pusta kabura dowodziły, że napastnicy wiedzieli, na kogo się zasadzają. Sito ze stalowych drzwiczek wojskowego samochodu mogła zrobić tylko wysoko kalibrowa amunicja automatyczna, a takiej nie używali zwykli bandyci czy szabrownicy. Kiedy jeep zatrzymał się przed zwalonym na drogę pniem drzewa, atakujący strzelali przez blachę, wiedząc, że pociski przejdą do wnętrza.

— Obywatelu kapitanie, muszą być gdzieś niedaleko. Jeśli zrobimy blokadę na drodze w kierunku Ciechanowca i Brańska... natychmiastową obławę..., to może jeszcze ich dorwiemy — mówił z przejęciem młody sierżant Milicji Obywatelskiej. On pierwszy zjawiał się na miejscu wypadku i wydawało mu się, że już dobrze ocenił sytuację. Sierżant ubrany był regulaminowo — mundur

¹ Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW) — specjalna formacja wojskowa podporządkowana ministrowi bezpieczeństwa publicznego (1945–1954), a następnie ministrowi spraw wewnętrznych, powołana uchwałą Krajowej Rady Narodowej z 25 maja 1945 roku. KBW powołano do walki z tak zwanym podziemiem reakcyjnym, do którego zaliczano polskie podziemie zbrojne, ukraińskie UPA i OUN, i niemiecki Werwolf, oraz zapewnienia ładu i porządku publicznego na terytorium kraju.

zapięty na ostatni guzik, klamra pasa równo w rzędzie guzików, daszek czapki i pasek pod brodą błyszcząły w słońcu. Mimo upału, nie zamierzał uchybić niczemu, co mogłoby rozżłościć przybyłego przed chwilą oficera KBW.

Kapitan, pochylony nad zwłokami, nawet nie zareagował na sugestię sierżanta. Wiedział, że to nie ma sensu. Na egzekucję oficera bezpieczeństwa na środku często uczęszczanej drogi nie mogli sobie pozwolić zwykli bandyci czy dezertrzy, których jeszcze niewielkie grupki ukrywały się w pobliskich lasach. Oni wybierali cywilów, ewentualnie jakichś niewiele znaczących posterunkowych z komisariatów Milicji Obywatelskiej. Zasadzka na wojskowego, a do tego oficera KBW? Nie..., na to mógł się zdobyć wyłącznie oddział NSZ czy WiN. A oni przeprowadzali swoje akcje profesjonalnie — z rozpoznaniem i planem ucieczki. W przeciwieństwie do tego, co uparcie głosiła rządowa propaganda, byli wojskiem, a nie bandytami rabującymi podróżnych na dziedzińcach.

— To zapewne „Huzar” — kontynuował sierżant niezrażony milczeniem oficera. — Jego ludzie co jakiś czas dają się nam we znaki. W zeszłym miesiącu na przykład...

— Czy coś znaleziono przy zabitych? Coś, co nie pasuje do tego otoczenia? Niedopałek, bilet, skrawek materiału... — kapitan nie miał zamiaru wysłuchiwać sprawozdania o wydarzeniach, które doskonale znał. To on odpowiadał za ten teren i do niego spływały wszystkie raporty od miejscowych posterunków MO. Wiedział o działalności Kazimierza Kamińskiego, zwanego „Huzarem” — o tym, że zebrał swoich ludzi, którzy nie ujawnili się podczas zeszłorocznej amnestii i że regularnie podejmował akcje bojowe.

— Nie, obywatelu kapitanie. W najbliższym otoczeniu wozu nic nie znaleziono. Dalej nie patrzyliśmy, bo chciałem zabezpieczyć miejsce... Wszystko jest tak, jak zastałem. Nic nie ruszałem. Kabura była pusta... Jedynie upewniłem się, że obaj nie żyją. Tak jak mnie uczyli na szkoleniu...

Karcące spojrzenie oficera zatrzymało monolog sierżanta. Choć nie zamierzał tego przyznać głośno, on także nie miał wątpliwości, że tego zabójstwa dokonał oddział „Huzara”. Niezwłocznie powinien o tym zameldować. Ale najpierw musi dotrzeć do Bielska Podlaskiego i połączyć się z Warszawą.

— Rozejrzyjcie się wokół... Niech ktoś sprawdzi tamten zagajnik — kapitan wskazał brodą niewielki lasek opodal nasypu drogi. — To najbliższe drzewa w okolicy, zapewne stamtąd przytargali ten pień.

— Tak jest! — odkrzyknął sierżant.

— I szybko postawcie blokadę, minimum trzysta metrów w obie strony. Nie chcę tutaj żadnych gapiów. Odpowiadacie za to głową, sierżancie!

Milicjant energicznie pobiegł w kierunku swoich podkomendnych, obserwujących całą rozmowę z bezpiecznej odległości. Nawet w nich kapitan KBW wzbudzał pewnego rodzaju bojaźń. Byli słabo wykształceni, bez obycia. A władza, to zawsze władza. Trzeba słuchać i kłaniać się nisko, w pas. I... nie przeszkadzać. Jak będzie coś władza chciała, to sama rozkaże.

Oficer rozpiął kolejny guzik munduru i przetarł ręką spoconą szyję. Ręka trafiła na bliznę, która ciągnęła się przez lewy policzek i zuchwę do połowy szyi — była pamiątką wojenną z walk o Wał Pomorski. Odruchowo podrapał szramę, która natychmiast nabiegła krwią. Podszedł do zwłok porucznika. Ciało leżało na brzuchu, w potylicy widniał ciemny otwór. Dokładnie — centymetr po centymetrze zlustrował ciało. Nic oprócz rozpiętej kabury i braku mapnika–aktówki nie odbiegało od standardu. No... może podeszwy butów były trochę zbyt zdarte. *Powinien już dawno wystąpić o przydział nowych oficerów. Wojna się skończyła, teraz buty nie są już dobrem luksusowym* — pomyślał kapitan z blizną. Podwinął rękawy. Ostrożnie chwycił zwłoki i dźwignął, aby przerzucić je na drugą stronę. Były ciężkie. *Przydałby się ktoś do pomocy.* W pierwszej chwili pomyślał o swoim adiutancie i kierowcy, ale jego nie było. Dał mu tydzień wolnego, na jakiś ślub krewnego. Bawi się gdzieś w rejonie Białej Podlaskiej. Gdzie? Dokładnie nie pamiętał. Mówiono mu, ale nie chciał zaśmiecć sobie głowy takimi szczegółami, choć jego przełożeni z Drugiej Podlaskiej Brygady KBW często mu powtarzali, że nie ma nieistotnych informacji, on bardziej wierzył w moc przesłuchań i donosów. To łatwiejsze i skuteczniejsze. A człowiek z natury jest nawykły do ułatwiania sobie życia...

Po dwóch próbach udało mu się przekręcić zwłoki porucznika. Ujrzał nie naturalnie czerwoną twarz — krew spłynęła grawitacyjnie. Poznał. Widział go na kilku odprawach, które wraz z towarzyszami radzieckimi odbywał w tere-

nie, lecz nie kojarzył go z żadnego wydarzenia, pytania czy wypowiedzianej kwestii. Ot, zwykły młodzik, który za zasługi wojenne lub odpowiednie koneksje zaczynał robić karierę w Korpusie. Nie mógł sobie jednak przypomnieć nazwiska. Zresztą nie miało to teraz większego znaczenia. Sprawdził mundur. Nie miał dokumentów — musieli je zabrać ludzie „Huzara”.

Podszedł do zabitego kierowcy. Oparł zwłoki na fotelu, odginając sztywniejące ciało. Przejrzał kieszenie munduru — znalazł dokumenty. *Cezary Śmietanko, rocznik 25, kapral.*

Ukucnął i z bliska obejrzał dokładnie podziurawioną blachę karoserii. Takie otwory musiała zrobić amunicja pośrednia — taka, jaką stosowano na przykład w... *Sturmgewehr 44*. Sam miał taki podczas ostatniej wojny, kiedy udało mu się znaleźć ten skarb przy jednym z martwych żołnierzy Wehrmachtu podczas walk o Kołobrzeg. Tutaj, na Podlasiu, taką broń posiadały jedynie patrole oddziału „Huzara” i „Młota”. *Ten „Huzar” staje się zbyt dużym problemem. Nie chcę wylądować w jakiejś bieszczadzkiej dziurze, na końcu świata i użerać się z niedobitkami UPA. Chyba najwyższy czas, aby porozmawiać z Lajbem Ajzefem. On teraz jest wysoko w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Nie zapomniał chyba o starym towarzyszu? Ma możliwości i dług wdzięczności jeszcze z Lublina. Muszę mu przypomnieć o starych czasach i poprosić o pomoc. Cierpliwość towarzyszy radzieckich może się szybko skończyć...*

Warszawa, lipiec 1948 roku

Lajb Ajzef nazywał się teraz Leon Andrzejewski i był wicedyrektorem III Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, kierowanego przez pułkownika Józefa Czaplickiego, odpowiedzialnego za walkę z podziemiem antykomunistycznym. Było to niejako ukoronowanie jego życiowej drogi, w ostatnich latach związanej ściśle z formacjami bezpieczeństwa. Nim trafił na obecne stanowisko, był oficerem politycznym w I Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, następnie szefem Wydziału Polityczno-Wychowawczego w podchorążówce w Riazaniu, a po szkoleniu w radzieckiej szkole NKWD w Kujbyszewie, nawet przez pewien okres jej wykładowcą. Kształcił tam polskie kadry dla nowego, komunistycznego państwa. Potem zajmował się ochroną PKWN — jako kierownik bezpieczeństwa. Pełnił także funkcję zastępcy kierownika Wydziału Personalnego Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, a jednocześnie był dowódcą Szkoły Oficerskiej Urzędu Bezpieczeństwa. Od tego roku z „odcinka” teoretycznego i szkoleniowego został przeniesiony na front bezpośredniej walki z reakcyjnym podziemiem niepodległościowym. Już na samym początku udało mu się pokazać swoją wartość.

Ostatni wielki sukces Departamentu, jakim było rozbięcie IV Zarządu WiN-u, odbił się echem w całym ministerstwie. Gratulacje złożył sam minister Radkiewicz, a i kilka ciepłych słów napisał prezydent Bierut. Równie istotne, a może nawet istotniejsze, były też pochwały radzieckiego doradcy przy ministerstwie, pułkownika NKWD Siemiona Prochorowicza Dawydowa. To wygłoszony przez niego na ministerialnym raucie toast na cześć zaangażowanych w sprawę funkcjonariuszy wprowadził Andrzejewskiego w doskonały humor. Zdawał sobie sprawę, że zadowolenie towarzyszy radzieckich z jego pracy, może skutkować tylko jednym — dalszą karierą i wzmocnieniem

jego pozycji. A to zawsze jest istotne w ministerialnej karierze i z pewnością umocni go w hierarchii funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Przesłuchania ludzi zaangażowanych w IV Zarząd WiN ciągle trwały. I były bardzo interesujące. Udało się uzyskać informację, że organizacja dysponowała zagranicznym departamentem, ulokowanym w Londynie. Departament ten, kryjący się pod kryptonimem „Dardanele”, utrzymywał ściśle kontakty z wywiadem amerykańskim CIA, a i zapewne z brytyjskim SIS, co bardzo zainteresowało zarówno Radkiewicza, jak i Dawydowa. Kolejne zatrzymania członków ścisłego kierownictwa WiN spowodowały jednak, że kontakt z „Dardanelami” mógł się w każdym momencie urwać. Na wolności był już tylko jeden człowiek, który mógł przejąć kuriera z zachodu...

Pułkownik Andrzejewski siedział kilka godzin nad protokołami z przesłuchań schwytanych członków kierownictwa Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Próbował wyczytać między wierszami coś, co pomogłoby doprowadzić go na ślad siatki wywiadowczej organizacji, noszącej kryptonim „Instytut Bakteriologiczny”. Organizacja była odpowiedzialna za kontakty z zachodem i jak dotąd uniknęła dekonspiracji.

Kiedyś w szkole w Kujbyszewie, podczas jednej z długich nocnych rozmów przy papierosie i bimbrze, któryś z jego radzieckich oficerów szkoleniowych wspominał mu mimochodem o generale Trepowie.

— Ty, Paliak... ty musisz znać tę postać.

— Nie znam.

— Naprawdę? On uratował życie wielu twoich narwanych rodaków.

— Nigdy nie słyszałem. On z NKWD?

— Nie. On z czasów carskich, kiedy o naszych służbach nikt nawet nie śnił, a dopiero tworzyła się ochrana.

Andrzejewski zachnął się teatralnie. Zerwał się na równe nogi, chcąc zaprotestować. Już miał krzyknąć, że on nie chce nawet tego słuchać, że to prowokacja i on nie chce nic więcej wiedzieć, kiedy radziecki podpułkownik, który z nim wtedy rozmawiał, zaśmiał się głośno i poklepał przyjacielsko swego podopiecznego. Wyrzekł wtedy słowa, które zostały Andrzejewskiemu w pamięci na lata:

— Wy, towarzyszc Paliak, dumajesz, że ochrana to byli głupcy i dopiero towarzysz Feliks Edmundowicz Dzierżyński nauczył nas roboty? Czy myśleliście kiedyś, jakim to cudem ci głupcy, przez tyle lat utrzymywali spokój w całym wielkim imperium? A czy ty, Paliak, wiesz, że nasza Czeka¹ na samym początku, to praktycznie z samych oficerów ochrony się składała? Oczywiście tych, którzy przejrżeli na oczy i przeszli na właściwą stronę barykady. Tak, to prawda, że to byli nasi ideowi wrogowie. Tak, nie można zapomnieć, że wcześniej aresztowali, więzili i zsyłali na Syberię naszych towarzyszy — podpułkownik pokiwał głową, chcąc podkreślić wagę wypowiedzanych myśli, tak jak to robią ludzie zgadzający się z usłyszczanymi przed sekundami słowami. — Ale i od wrogów należy się uczyć. A może szczególnie od nich, od zajadłych nieprzyjaciół... Jeżeli są na tyle dobrzy i skuteczni, że nie możesz ich pokonać, to ucz się od nich, poznawaj ich, kopiuj ich pomysły i rozwiązania. Stań się ich wiernym naśladowcą i uczniem. To nie żadna ujma ani hańba, to... mądrość. Znacie Paliak, Sun Tzu?

(Wtedy Andrzejewski nie znał. Poznał kilka dni później. W bibliotece szkoły w Kujbyszewie było kilka egzemplarzy „Sztuki Wojny”).

Po kilku dniach Andrzejewski spotkał podpułkownika. Powiedział mu, że już wie, kim był generał Fiodor Fiodorowicz Trepow.

Pułkownik Andrzejewski przełożył kolejną kartę. Nie mógł znaleźć nic, co by go naprowadziło na jakiś ślad, co by pozwalało złapać trop, jakiś konkret, punkt zaczepienia. W końcu zrezygnował. Zdjął okulary, niedbale rzucając je na blat biurka zasłanego dokumentami. Odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Wtedy właśnie przypomniał sobie podpułkownika z Kujbyszewa, a chwilę potem i generała Trepowa. Wiedział już, co zrobi... Otworzył gwałtownie oczy, jakby rażony piorunem.

¹ Czeka — Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy zwana potocznie Czeka, lub Czeriezwydzajka, była potoczną nazwą tajnej policji, działającej w Rosji Sowieckiej w latach 1917–1922. Następca Czeka był Państwowy Zarząd Polityczny (GPU) o tym samym zakresie działań, który podporządkowano pod Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (NKWD).

Wydało mu się, że wisząca na ścianie rama portretu Stalina zafalowała, zupełnie jakby zamiast lakierowanego drewna otaczały obraz splecione, wijące się w śmiertelnym uścisku węże. Patrzył przez chwilę zafascynowany tą halucynacją. *Późno już. Zmysły zaczynają płatać figle. Jutro też jest dzień.*

Jelenia Góra, grudzień 1948 roku

Ciemna postać sprężystym, kocim ruchem odbiła się jedną nogą i bez trudu przeskoczyła dużą kałużę na swojej drodze — pozostałość po błotnistej mazi, w którą szybko zamieniał się pierwszy tej zimy śnieg. Zrobiła to z lekkością, można by rzec, że nawet z gracją, która jest dana wyłącznie gimnastykom czy baletmistrzom. Mężczyzna nie wyglądał jednak na żadnego z nich. Był silnie zbudowany, umięśniony, o szerokich ramionach i mocnych udach. Zdecydowanie bardziej typ atlety niż gimnastyka. A jednak pozory często mylą. — Cholera — przeklął, natychmiast orientując się, że zupełnie niepotrzebnie mógł zwrócić na siebie uwagę. A tego nie chciał w żadnej mierze.

Na szczęście na ulicy o tej porze było już pusto. Większość mieszkańców odpoczywała po kolejnym dniu pracy, słuchając w radiu sprawozdania ze zjazdu zjednoczeniowego Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Partii Robotniczej, które miały teraz wspólnie, już oficjalnie, utworzyć Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Była to zapowiedź wielkich zmian. Jedna potężna partia zawładnie krajem i losami zwykłych obywateli. Jakie to będzie miało następstwa? Jak wpłynie na rzeczywistość powojennej Polski? Dla mężczyzny odpowiedź na to pytanie była jedna — katastrofalnie. On jednak ciągle nie tracił nadziei. Oficer amerykańskiego wywiadu, z którym rozmawiał nie dalej jak dwa dni temu, zapewniał go, że Trzecia Wojna Światowa ciągle jest możliwa, a nawet bardziej prawdopodobna teraz niż jeszcze kilka miesięcy temu. I rozgorzeć może na całym świecie — na Półwyspie Koreańskim, Bliskim Wschodzie i w Europie środkowej. Militarne konfrontacje zachodniego świata demokracji z komunizmem musi ponownie przemodelować globalny porządek polityczny. A wtedy zawali się obecny układ sił także tutaj, w Polsce i nic nie będzie przesądzone. Powróci szansa, żeby biały orzeł rzucił z siebie sowieckie kajdany.

Mężczyzna postawił kołnierz palta i skrzył w bramę budynku o obdrapanej elewacji z szarego, cementowego tynku, spod którego wyzierały duże połacie przestrzelonych, czerwonych cegieł. Schował się w podcieniu i przez chwilę lustrował przeciwną kamienicę. *Lewa franka odsunięta, po prawej — doniczka na środku parapetu. Wszystko się zgadza* — w myślach powtórzył znaki rozpoznawcze. Uzgodnił je już ponad rok temu i nadal stosował. Może dlatego, że od paru miesięcy nie miał okazji ich używać.

Przez chwilę obserwował starszego mężczyznę taszczącego z wysiłkiem wiadra z węglem. Przystanął, otarł czoło i rozejrzał się, jakby szukając pomocy. Nikogo nie dostrzegł. Zrezygnowany chwycił swoje brzemię i ciężko stawiając kroki, zniknął za rogiem budynku.

Mimo, że czas spotkania już minął, mężczyzna postął jeszcze przez chwilę w cieniu bramy, popatrując na okna mieszkania na drugim piętrze. Wyciągnął białą paczkę „Lucky Strike” i benzynową zapalniczkę. Zaciągnął się mocno dymem. Wypalił połowę papierosa, kiedy ruch za plecami, odgłosy kroków i szczekanie psa zmotywowały go do działania. Rzucił niedopałek, przydeptał butem i przebiegł ulicę. Po chwili był już na drewnianych schodach. Zaskrzypiały pod jego ciężarem. Na szczęście jakiś mocno rozregulowany kołchoźnik w mieszkaniu na parterze przekrzykiwał wszystkie inne dźwięki piskliwym głosem Bolesława Bieruta¹. Mężczyzna nie zważając na obdrapaną poręcz, z której farba schodził płatami — ostatni remont miała na pewno jeszcze za Niemca, przed wojną — pokonał schody, wskakując po dwa stopnie. Po chwili stał już przed drzwiami ze starannie wypisanym kredą numerem: siedem. Zapukał w umówiony sposób — dwa razy szybko, trzy wolno, trzy szybko. Cofnął się o krok i czekał. Lekko ugięte kolana, zgięte w łokciach ręce gotowe były do odparcia ataku, gdyby gospodarz okazał się oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. W postawie, jakiej uczono go na szkoleniu dla cichociemnych, odczekał długie dwadzieścia sekund nim usłyszał szcęk łańcucha i zobaczył znaną mu twarz Mieczysława Kawalca

¹ Kołchoźnik — popularna nazwa głośnika nadającego jeden ogólnopolski program radiowy, często o bardzo złej jakości dźwięku

„Psarskiego” — ostatniego z pozostałych na wolności członka IV Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Tylko on zdołał się ukryć — wszyscy pozostali oficerowie ścisłego kierownictwa organizacji byli już w rękach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Uśmiechnął się. Gospodarz bez słowa otworzył szerzej drzwi i wpuścił przybysza. Wyrzwał na klatkę schodową, zlustrował schody prowadzące w dół i górę, spojrzał na brudną szybę niewielkiego okienka wychodzącego na podwórze, rzucił okiem na zamknięte na głucho drzwi do sąsiednich mieszkań, po czym cicho zamknął swoje. Zaciągnął łańcuch.

Uściskali sobie ręce, potrząsając przez dłuższą chwilę, jakby podkreślając radość ze spotkania. Mężczyzna poczuł, że dłoń gospodarza była spocona. A może tylko mokra, po niedawnym myciu?

Gość zdjął płaszcz, otrzepując futrzany kołnierz z niewidzialnych pyłków brudu.

— Daj, „Adam” — powiedział gospodarz. Wziął płaszcz przybysza i powiesił na ostatnim wolnym haczyku wystającym ze ściany, obok dwóch innych pałt.

— Dawno żeśmy się nie widzieli — powiedział „Adam”, pocierając dłonie o siebie, jakby w odruchu radości z widoku dawno niewidzianego kompana.

— Od wiosny. Wiesz... musiałem się ewakuować... ukrywałem się. Po aresztowaniach „Pługa” i reszty nie mogłem...

— Wiem. „Montownia” dokładnie zna sprawę². Zresztą opowiesz o tym przy innej okazji, jak będę miał więcej czasu.

— Chodź, napijesz się czegoś ciepłego i... przedstawię cię komuś.

„Adam” zastygł. Ściągnął mocno brwi. Jego mina była mieszaniną zaskoczenia i wyczuwalnego niepokoju. Nie lubił takich sytuacji. I co gorsze, zupełnie nie był na nią przygotowany. Nie spodziewał się, że w spotkaniu będzie uczestniczył ktoś jeszcze. „Psarski” znał bardzo dobrze zasady, a jednak je złamał. *Oby miał ku temu jakiś naprawdę ważny powód...*

² „Montownia” — Zawiązek Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Struktura ta miała na celu przygotowanie warunków do odtworzenia Polskich Sił Zbrojnych w wypadku wybuchu III wojny światowej. Z Zawiązkiem byli związani m.in. gen. Tadeusz Bór-Komorowski, gen. Antoni Chruściel, gen. Stanisław Kopański.

— Nie martw się, to nasz człowiek. Zaufany. Przecież wiesz... — jakby odczytując niewypowiedziane wahanie „Adama” gospodarz próbował się wytłumaczyć i uspokoić przybyłego mężczyznę. — Zresztą nie miałem możliwości powiadomić cię. A uważam, że musisz go bezwzględnie poznać.

— Nie wspominałeś... — gość przerwał, bo w progu drzwi pokoju ukazała się barczysta sylwetka, bardzo podobna posturą do „Adama”. Zmierzyli się wzrokiem. Byli w podobnym wieku. „Adam” próbował skojarzyć widzianą twarz. Nie rozpoznał jej jednak, choć intuicja podpowiadała mu, że mogli się już gdzieś przelotnie spotkać. Postać szybko wycofała się do wnętrza pomieszczenia.

— Hmm... A może wy już się znacie? Nie dąsaj się... i nie stójmy w sieni — „Psarski” przyjacielsko klepnął „Adama” w plecy. — Zapraszam na moje pokoje — dodał z wyczuwalną ironią. Weszli do dużego pomieszczenia, które musiało pełnić rolę reprezentacyjnego salonu w czasach, kiedy mieszkanie było własnością jakiejś znacznej niemieckiej osoby. Z minionej świetności nie pozostało jednak wiele. Rzeźbiony gdański kredens w rogu, reprodukcja Duerera w lakierowanej ramie, haftowana makatka z herbem Jeleniej Góry i niemiecką nazwą miasta Hirschberg — zapisaną alfabetem gotyckim. Jeszcze dębowy parkiet, choć zniszczony i wymagający olejowania świadczył o statusie poprzedniego właściciela.

— „Zygmunt” — przedstawiła się barczysta postać, wstając i wyciągając dłoń na przywitanie.

— „Adam” — odparł gość z kwaśną miną. Odwzajemnił jednak gest, wyciągając rękę. Nie podobały mu się takie sytuacje, kiedy na ważnych spotkaniach konspiracyjnych poznawał nowych, nieznanych mu z wyglądu i pseudonimu ludzi. Był doświadczonym kurierem, który mimo wielu podróży z Londynu do kraju, nigdy nie został nawet zatrzymany do wnikliwej kontroli. Jedynie standardowe sprawdzenie dokumentów, czasem jakieś pobieżne przeszukanie bagażu na granicy. Nic, co rodziłoby zagrożenie zdemaskowania jego prawdziwej profesji. Udawało mu się, może dlatego, że w takich sytuacjach jego szósty zmysł był maksymalnie wyostrzony. *Ostrożność lubi się odwzajemniać. Jeżeli stanie się twoją kochanką, to będzie cię strzegła, chroniła i dbała*

o ciebie, zapalała czerwone światło, kiedy zbliżysz się do niebezpieczeństwa. A ja jestem jej oddanym kochankiem. Ta odwzajemniona miłość to jedyna pozytywna rzecz, jaką wyniosłem z wojny — mawiał często, kiedy pytano go, czy nie obawia się tak częstych wyjazdów do kraju za żelazną kurtynę.

— Jak pogoda w Londynie? Ciągłe pada? — zagaił „Psarski”, widząc niezadowolenie na twarzy gościa. „Adam” nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Dokładnie lustrował pomieszczenie, szukając czegoś, co nie pasowałoby do reszty, czegoś, co zapaliłoby czerwone światelko.

— Nie mam pojęcia. Bardzo dawno tam nie byłem — skłamał „Adam”, ostrym tonem przecinając ten wątek. Gospodarz się zmytygował i zaczął nalewać ciemną herbatę do porcelanowej filiżanki.

— Yunnan — najlepsze, co można teraz zdobyć. Nie jest może tak dobra jak te przedwojenne ze sklepów z towarami kolonialnymi, ale nie można narzekać — zachwalał napój, zmieniając temat i próbując zatrzeć niezręczność, w którą nieopatrznie się wplątał wspomnieniem o Anglii.

„Adam” wymownie spojrzał na barczystego mężczyznę, który siedział nieporuszony w jedynym w pokoju fotelu, o silnie sfatygowanym obiciu. Milczał. Tylko jego oczy niespokojnie lustrowały „Adama”.

— A tak. Miałem panów poznać — przepraszająco rzekł „Psarski”. — To major „Zygmunt”. Teraz odpowiada za sprawy „Instytutu Bakteriologicznego”. Wcześniej był bliskim współpracownikiem „Znicza”³. Można powiedzieć, że teraz on kontynuuje kierowniczą rolę „Pługa”.

„Zygmunt” skinął lekko głową.

— Nie tylko ja. Jeszcze parę innych osób. Ja próbuję poskładać na nowo wszystko to, co pozostało. Na nasze szczęście „Instytut” jest praktycznie nie naruszony. Struktura komórek zachowana. Jedynie poszczególne „bakterie” trafiły w łapy UB. Niemniej nie jest to ilość, która powodowałaby niewydolność całego organizmu, że się tak wyrażę. Liczę na to, że w przeciągu kilku miesięcy uda się w pełni odbudować stan osobowy organizacji.

³ „Znicz” — pseudonim Józefa Rzepki — odpowiedzialnego za dział polityczny IV Zarządu WiN. W jego mieszkaniu aresztowano przywódców IV Zarządu, w tym ppłk Łukasza Cieplińskiego.

— Dobrze słyszeć. W takim razie, kiedy może pan... majorze... przedstawić raport?

— Zaraz po świętach będę miał już pełen obraz. Do końca roku wyczerpujące sprawozdanie będzie gotowe do wysyłki do Londynu. Choć nie ukrywam, że raport najchętniej przekazałbym osobiście. Przyjazd kogoś z centrali byłby zasadny. W zaistniałej sytuacji należy odtworzyć nowe kontakty osobiste. Nie muszę chyba mówić, jak to jest ważne.

— Nie, nie musi pan, majorze. Niemniej przyjazd kogokolwiek z zagranicy jest teraz niemożliwy — uciął stanowczo „Adam”. Dostał jasny rozkaz: ma sprawdzić, jak wygląda sytuacja na miejscu, przekazać instrukcje, zebrać raporty. Wiedział, że ani generał Kopański, ani generał Komorowski nie zdecydują się na wysłanie nikogo bez dokładnego zbadania sytuacji na miejscu. Dopóki on nie złoży osobiście pełnego raportu w Londynie, dopóty z pewnością nikt inny się nie zjawi w „Helladzie”⁴.

— Kto jeszcze jest na powietrzu? — ujął w dłonie parującą filiżankę herbaty. Spojrzał pożądliwie na ułożone na niewielkim spodku herbatniki, jednak nie zdecydował się po nie sięgnąć. Nie zamierzał nic jeść. Miał ochotę zapalić, nie dojrzał jednak nigdzie popielniczki, a jedyne papierosy, jakie miał przy sobie to, „Lucky Strike”, które nieopatrznie zabrał ze sobą z Monachium. Lubił dobry tytoń, smakował mu i choć miał świadomość niebezpieczeństwa, nie mógł sobie odmówić chwili przyjemności, szczególnie przy porannej kawie. Wyciągnięcie ich teraz nie było jednak dobrym pomysłem. Przełknął ślinę.

— „Wiktor”. Z nim mam kontakt. Od niego wiem, że jeszcze „Baltazar” i „Janusz”. Ale gdzie się ukrywają, nie mam pojęcia. Mogli się już dostać na zachód lub zaszyli się w lesie, w którymś z oddziałów partyzanckich.

— Chcę się zobaczyć z „Wiktorem”. Pilnie — dodał z naciskiem „Adam”.

Była to pierwsza wiadomość o losie „Wiktora” i wydawało się „Adamowi”, że jest wiarygodna, bo zapewne sprawdzona. Ufał „Psarskiemu”, był przecież kierownikiem Wydziału Informacji i Propagandy WiN-u. Wyglądało więc na to, że sytuacja nie była tak katastrofalna. „Wiktor”, używający też

⁴ „Hellada” — kryptonim WiN oznaczający kraj.

czasem pseudonimu „Maciej”, naprawdę nazywał się Stefan Sieńko i należał do ścisłego kierownictwa organizacji. Znał dobrze, jeszcze z czasów wojny, podpułkownika Józefa Maciołka — szefa Delegatury Zagranicznej WiN-u w Londynie. A to stanowiło decydujący argument uwiarygadniający nowe, stworzone po ostatniej fali aresztowań, kierownictwo WiN-u. Z pewnością w oczach szefa „Dardaneli” był on, obok „Psarskiego”, naturalnym kandydatem na następcę „Pługa”.

— Przekażę.

— A „Jacek”? — z nadzieją w głosie „Adam” zapytał o kierownika referatu do zadań specjalnych. Znał go dobrze, wspólnie wykonywali kilka misji. Choć wiedział, że on również wpadł w kotle, jaki zastawił UB w mieszkaniu „Znicza” w Zabrze, to liczył w skrytości ducha, że może okazać się one nieprawdziwe.

W odpowiedzi gospodarz tylko pokiwał przecząco głową.

— Komórka „Jacka” nie istnieje. Ani on, ani nikt z jego ludzi... nikt z referatu specjalnego nie... — „Zygmunt” urwał. — Zadania specjalne zostały przekierowane do oddziałów leśnych, szczególnie liczymy na operatywność „Huzara” i...

— Interesuje mnie też kontakt do „Baltazara” — wtrącił „Adam”. — „Montownia” potrzebuje dostępu do archiwum. To on za nie odpowiadał i z pewnością wie, gdzie jest interesująca nas reszta organizacyjnych dokumentów. Mógłbyś sprawdzić, czy nie ma go w lesie? — zwrócił się do „Psarskiego”. — Inne warianty biorę na siebie. Jeżeli ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem w kraju, to wcześniej czy później wypłynie i sam się zgłosi. Jeśli przeszedł zieloną granicę, to również się pokaże.

— Załatwione — odparł „Psarski”. — Choć nie będzie to łatwe. Za łączność wewnętrzną odpowiadał „Argus”⁵, a on, jak wiesz, wpadł razem z „Pługiem” i innymi.

— „Montownia”? — odezwał się niespodziewanie „Zygmunt”.

„Adam” spojrzał na niego zdziwiony. Ten kryptonim Załączka Sztabu Głównego musiał znać każdy w ścisłym kierownictwie Organizacji. Jeżeli ten człowiek był rzeczywiście bliskim współpracownikiem „Znicza”, a teraz,

⁵ „Argus” — jeden z pseudonimów Józefa Batorego, odpowiedzialnego w IV Zarządzie WiN za łączność wewnętrzną.